

cy: „Czytam mało nowości literackich. Nie znajduję tam [...] tematów dla mnie ważnych i pociągających. Jest jeszcze i inny powód – do lektury literatury pięknej mogę zabrać się, gdy kończę swoje lektury zawodowe, a wtedy jestem zmęczony i wybieram książki nie wymagające większego wysiłku intelektualnego”. Inaczej mówiąc, można by odnieść wrażenie, że zadaniem literaturoznawcy jest znajomość aktualnej kondycji literatury, niezależnie od specjalizacji, jednakowoż konieczność zaznajomienia się ze współczesnym stanem literatury na temat współczesnego stanu literatury mocno to zadanie komplikuje. Są tylko poezja i proza, lecz właśnie ich nie ma.

Czas tego wywiadu jest znaczący. Nauka o literaturze od momentu wyłonienia się trwa w swojej strukturalnej konieczności – kryzysie. Niezależnie jednak od niego przemiany kulturowe, w których uczestniczymy, jak i przytłaczająca nadprodukcja literacka sprawiają, że nie sposób dziś sobie wyobrazić metamorfozy, jaka ją czeka w ciągu najbliższych, powiedzmy, 20 lat. Przez siedem, osiem, dziewięć nawet dekad wieku XX literaturoznawstwo zachowało w mniejszym lub większym stopniu swą tożsamość. Spoglądając na rzecz zdroworozsądkowo, powinno już go nie być, ale Markiewicz daje niejasne pocieszenie: „Nie polegaj na zdrowym rozsądku, ale nie sądz, że zgodność ze zdrowym rozsądkiem jest zawsze pomyłką”.

„Lampie”, na okładce której Maciej Sieńczyk kroci tort ze świeczkami w kształcie liczby 100, z okazji setnego numeru życzenia prawdziwych 100 lat, które powinny wypaść, nie trudno policzyć, w okolicach numeru tysiąc dwusetnego w roku 2104. Czy to się uda?

Czas pokaże...

Pamflet na wszystkich ludzi (10)

Edward Pasewicz

Coś wisiało w powietrzu i nie był to bynajmniej papierosowy dym ani mordercza mgła, która polyka samoloty. Nie był to też smród ani zapaszek. W knajpie wisiało coś innego, niepokojącego, czego profesor Czuby nie był w stanie zwerbalizować. Nie byli to nawet überhipsterzy. „To się raczej zbliża, niż oddala. To jest tak, jakby zaraz tu miało w tym Miejscu nastąpić tsunami. Morze, cholera jasna, się cofa”. Profesor nerwowo sączył piwo, wpatrując się w Pana Stasia, który z nieskrywaną niechęcią wpatrywał się w towarzystwo zgromadzone przy barze. Było tu parę osobistości, które zagrały kilka drobnych ról w telewizyjnych serialach. Był zwariowany pisarz, który spłodził już setki stron swej powieści i właśnie obdarzał znajomych swoim talentem, recytując wybrane przez siebie fragmenty, a głos jego był sroczy, skrzeczący i nie do zniesienia. Pan Staś, och, gdyby tylko mógł, jego pierwszego zacząłby torturować. Nachylił się do profesora i objaśnił półszeptem, jaką by mu sprawiło frajdę, gdyby mógł temu zarodziłemu dupkowi w rogowych okularkach wsadzić rozżarzony pręt w dupę. Pan profesor był kontent. „A potem – kontynuował Pan Staś – zmusiłbym go do zeżarcia tych wszystkich kartek”. Pana Stasia szczególnie irytował fakt, +

że pisarz używał pióra i atramentu, a cała jego powieść została napisana na papierze, który sam sobie zrobił, i w notatnikach, które sam oprowił. Pan Staś zresztą go kojarzył. Człowiek ten zbierał żywność przeterminowaną, śmietnikową i przyrządzał z tego pyszne posiłki. „Eko – sreko”, pomyślał Pan Staś.

Gdzieś z tyłu sali siedział przyjemny i jowialny pan impresario ze znanego kazimierskiego Teatru i opowiadał rozbawionej i rozszczerzonej trzódce swoich chłopców anegdota z teatralnych kulis. A to o aktorce, która się upiła i wylazła na scenę nago, „bowiem gdyż skoro gram dziwkę, to cycki powinny być widoczne”. A to o pewnym profesorze z PWST, który tak namiętnie, tak pięknie i tak cudnie robił laskę pewnemu studentowi, że laska owa przeszła do historii, zrobiona bowiem została na scenie i w przytomności kilkunastu widzów. W innym kąciuku Aleksandra Sroka, znana wszystkim działaczka, krytyczka, znawczyni i bywalczyni, lat dwadzieścia dwa, knuła, jak by tu usidlić i złapać na gorącym, a zdradzieckim uczynku swojego metroseksualnego chłopaka. Piękny moment, by ich wszystkich zagazować, skrócić o głowę, wykastrować i splawić Wisłą do morza.

Pan Staś znowu się rozmarzył i oczami wyobraźni ujrzał, jak wymiera cały Kraków, Chiny i pozostaje tylko on, Pan Staś, ostatni przedstawiciel szalonego gatunku. „U kresu moich dni będę mógł powiedzieć, że dokonałem rzeczy wielkiej”. Rozważania o własnej wielkości przerwał mu głos profesora. Głos, który poprosił go o szybsze dopicie piwa.

– Wyjdźmy stąd, chłopcze. Ja czuję, że tu się zaraz stanie coś strasznego i niehumanicznego, a jakoś nie mam ochoty na rzeczy niehumaniczne – powiedział profesor.

Pan Staś, który właśnie karmił swoją nienawiść i obrzydzenie, niechętnie wziął sążni-

stego łyka i uniósł swoją powabną dupkę. Delikatnie przesunął po niej dłonią tak, żeby podniecić jeszcze raz profesora. Ten ruch nie umknął jego uwadze i profesor rozświetlił się wewnątrz od pożądania i chuci. Spojrzał na delikatne palce Pana Stasia, na jego łydki i męsko zarysowane szczęki, w których jednak było coś chłopięcego, coś, co profesora wprawiało w stan drżenia.

Pan Staś zupełnie świadomie puścił profesorowi przelotne oczko, zabłyszczał, poruszył palcami, jakby strząsał z nich kroplę wody, wypił i wstał. Wstał i zamarł. A wraz z nim zamarła ziemia i ptaki zamarły, i dżdżownice. Wszystko zamarło. W drzwiach knajpy Miejsce stała wściekła Olimpia. Podeszła do stolika, przy którym stał Pan Staś, i syknęła:

– Obaj za mną.

– Ale... – próbował zaprotestować profesor Czuby.

– Czuby – powiedziała Olimpia – nie bądź kompletnym dupkiem, tylko rusz się i chodź.

Pan Staś z żalem patrzył, jak profesor niechętnie wkłada ustrojstwo do torby, wstaje i przewiesza torbę przez ramię. „Jak on zmalował nagle – pomyślał Pan Staś – zmalował i zanika”.

– Ty też – powiedziała Olimpia, patrząc Panu Stasiowi prosto w oczy.

Spojrzenie w oczy Pana Stasia kończyło się zazwyczaj miłością i jednością dusz, kobiecością, co zabiera nas w dal i porusza słońcem i gwiazdami, i tak dalej, i dalej. Pan Staś był przyzwyczajony do wstrząsu, jaki w innych istotach wywoływał jego wzrok. A tu nic.

– Ale po co? – powiedział Pan Staś i pierwszy raz w życiu zabrzmiała w jego głosie nutka niepewności i lęku.

– Nie zadawaj pytań, to ja tu jestem od zadawania pytań. No dalej, rusz się.

Pan Staś ujrzał w niej groźną przeciwniczkę. Oto stała przed nim w czarnym mundurze

władczyni miejscowego SS, Pani na kazimierskim Gestapo, rozwścieczona i groźna.

– No dalej, ruszcie się obaj – wrzasnęła, a überhipsterzy zamarli jak króliki na widok oceanu.

– Ależ Olimpia, więcej godności... – zaczął profesor, ale zamilkł, kiedy wzrok Olimpii przeszył go na wskroś.

Pan Staś był załamany. Jeszcze się w nim żagiel bielił dumy i chęci mordy, ale już się wiza osypywała, już się poddawał.

– Ale gdzie i po co? – zapytał.

– Dowiesz się, spokojnie, zaraz się dowiesz.

Tymczasem Filip Malewski starał się dotrzymać kroku Mężczyźnie. Nie były to co prawda wielkie susy, było to drobne kroczenie, a można by nawet powiedzieć, że to było przesuwanie się, a nie kroczenie, wręcz pełźnięcie to było, ale prowadziło toto do wojny.

„Wojna! Wojna! Wojna o Pana Stasia”, myślał otłuszczony mężczyzna, a w jego zanurzonym w lipidach mózgu kiełkował plan koalicji. „Już ja mu zrobię obłężenie, ja mu urządzę taką Troję, że mu się w tym staropunkowym łbie nie śniło”.

I nagle wrzasnął:

– Już ja ten staropunkowy obrządek zlikwiduję! Pan Filip Malewski kraśniał z dumy.

„Oto dziś jest noc i krwi, i chwały”, myślał sobie pan Filip Malewski i prawie doznał orgazmu, gdy wymyślił, co zrobi, gdy w jego dłonie wpadnie ten „śliczny Pan Staś”. •

I wyrozumiały,
i przystępny

Adam Poprawa

Trafiłem na ten tekst przypadkiem, z innych zupełnie powodów wertując dokładnie warszawski „Wieczór” z 1948 roku. Przez parę dni spoglądała na mnie z lustra twarz odkrywcy, są przecież zazwyczaj jakieś niedoczytania: okazało się, że tekścik ów wiedzie także swój żywot w sieci. No cóż, przynajmniej nie jestem sam. Idzie w każdym razie o felieton Tuwima Kinochamy, w którym przedstawia poeta nieaprobowane przezeń zachowania części publiczności. Niektórzy bowiem głośno dukają napisy oraz komentują akcję. Zdesperowany Tuwim pisze serdeczną żólcia i tak pięknie bluzga:

„Jeżeli parka składa się z samca i samicy, spikerką jest zazwyczaj ona. Jeżeli to para chamów rodzaju męskiego, czytają na przemian. Jeżeli dwie idiotki – równocześnie”.

Wiadomo, Tuwim nie przepadał za ludem ani mieszczanami. Felieton pochodzi jeszcze z okresu międzywojennego; hierarchie społeczne były wtedy wyraźne, nic dziwnego więc, że taka aksjologia odbioru została wtedy sformułowana i ukazała się drukiem. Ale powtórzenie tekstu w pierwszych latach budowy socjalizmu intryguje, tym bardziej że „Wieczór” był popularną popołudniówką. Zapewne wartości i warstwowość (społeczna) działały jeszcze z rozpędu. +